ROZMAITOŚCI.

Dnia 5 czerwca, № 23. roku 1847.

MAJOR ANDRÉ.

(Dokończenie.)

Cicha, gwieździsta noc była, gdy mała łódka w pośrodek rzéki ku leżącemu tamże spokojnie na kotwicy okrętowi „Jastrząb'" nadpłynęła, a trzy uderzenia wiosłem znak dały, że major wsiąść może. Od dłuższego już czasu czekał tenże, w széroki płaszcz owinięty, na łódkę, i pożegnawszy teraz szybkiém uściśnieniem ręki dowódzcę okrętu, pospieszył po linowéj drabince na dół ku łodzi. Rysy człowieka, który go tam przyjął, miały w sobie coś śmiałego i chytrego, o ile przynajmniéj słabe światło latarni okrętowych, dostrzegać pozwalało. Skoro major był w łódce, skierował wioślarz ku brzegowi, a ukryty zacieniem nocy, płynął żwawo naprzeciw wodzie. Po niejakim czasie pojawiło się na przeciwległych okopach twierdzy Westpoint kilka migających światełek. Przewoźnik majora nie przemówił dotąd ani słowa, i jakby o niego prawie się nie troszczył; teraz jednak wskazał na kilka środkiem rzéki ruszających się ciemnych punktów, i zaczął co mu sił stało robić wiosłem. André domyślił się, że to były nieprzyjacielskie łodzie strażnicze, i o wiele też swobodniéj odetchnął, gdy rzéka wreszcie w bok skręciła, a wznoszące się po obu stronach lasy, nieprzeniknionym cieniem łożysko jéj osłoniły. I wioślarz już się tu nie tak spieszył; a nawet do majora przemówił.

„Dzięki Bogu" rzekł — „żeśmy tym psom już uszli. Chociaż mają rozkaz przepuścić mię, przecież mogliby dojrzéć pod płaszczem uniform pański, i powziąć podejrzenie. Dla tego proszę pana odbyć jaknajspieszniéj rozmowę z jenerałem, gdyż musimy koniecznie przede dniem to niebezpieczne miejsce pominąć "

»Z trudnością nam to przyjdzie»" — nadmienił André. „Dzień bardzo wcześnie rozświta."

»Nic nie pomoże; tak być musi" — odparł żywo przewoźnik. „Bo za dnia nie powiozę ja pana tędy nazad, chociażby mi skarby świata dawano. Milsza mi moja głowa, niż wszelkie obietnice."

Tu ozwał się jakiś głos przeraźliwy, któremu wnet dwa inne podobne odpowiedziały.

„Cóż to!" zawołał major, chwytając mimowolnie za szablę pod płaszczem.

»Nic to!" — odpowiedział wioslarz. — „To sowy się wołają. Jednak wolałbym był kiedyindziéj głos ten usłyszéć. Nie dobra to bowiem wróżba; a ponieważ właśnie trzy sowy krzyczą, a nas, to jest: z panem, zemną i jenerałem Arnoldem, także trzech jest; tedy gdyby nas schwytano i powieszono, wypadłoby po jednym ptaku na każdego."

W innym czasie i miejscu byłby ten zabobonny dowcip mógł rozśmieszyć majora, atoli teraz, widząc się w mocy człowieka nieznanego, zdrajcy; nie miał major wcale ochoty do śmiechu, i rad był mocno, gdy Smith nagle wpośród zarośli do brzegu przybił, mówiąc: „Stanęliśmy u celu."

Wysiadłszy z łodzi i otrzymawszy od przewoźnika powtórne zlecenie pośpiechu; zeszedł się André po kilku krokach w lasku z jenerałem Arnoldem, który starannie płaszczem osłonięty, wziął majora za rękę, i w milczeniu daléj ku głębi zaprowadził. Tam usiedli obaj na pniu obalonym, a jenerał odezwał się w te słowa:

„Zapewneś pan czytał list mój do jenerała Clinton; nie potrzebuję więc tłumaczyć się bliżéj z tego, co czynię. Przystąpmy raczéj do środków wykonania. Jestto rzecz trudna i niebezpieczna. Namówić załogę do złożenia broni — niepodobna; równie też i otwarte poddanie się za nadejściem silniejszego oddziału angielskiego, uskutecznić się nie da. Natychmiastby mię uwięziono, i czekano, aż póki Washington, który tuż w pobliżu stoi, posiłków nie nadeśle. Nie pozostaje tedy nic innego, jak sprowadzić mocną kolumnę angielską manowcami od strony lądowéj. Postarałbym się oto, aby pod pozorem ochronienia przystępu od rzéki, odsłonić tamtę stronę, i tylko szczupłą garstkę rekrutów tam ustawić. Około północy wyruszy „Jastrząb" rzéką ku twierdzy, a po zwróceniu całéj uwagi w tę stronę, kolumna angielska wysunie z zasadzki naprzód. Natenczas chcąc niby wycieczkę od

strony lądowéj uczynić, każę otworzyć bramę, którą wasz oddział szturmem do twierdzy wpadnie. Tak może nawet i pozór ocalimy.”

Tu Arnold zamilkł, oczekując odpowiedzi majora. Lecz ten nie był w stanie słowa wymówić, lękając się, aby mimowolnie nie objawił swojéj wzgardy dla człowieka, który tak nikczemnego dopuszczając się czynu, jeszcze pozoru chciał uniknąć. Było to najsamolubniejszą podłością, jaką majorowi kiedykolwiek napotkać się zdarzyło.

»Sam pan to łatwo pojmiesz” — ozwał się Arnold daléj — „że jeżli nasze przedsięwzięcie ma się udać, potrzeba najściślejszego porozumienia i spółdziałania sił sprzymierzonych. Uznałem tedy za rzecz nieodzownie potrzebną, udzielić jenerałowi Clinton dokładnéj instrukcyi, jakoteż planu twierdzy i drogi, którą kolumna ma postępować. Oto są te papiéry wraz z listem, w którym proszę, aby panu dowództwo kolumny poruczono.”

„Jenerał Clinton” — przejął major żywo — »zabronił mi stanowczo przyjmować jakiekolwiek papiéry.”

„Pojmuję to” — odrzekł Arnold spokojnie. — »Nie chciał pana na przypadek schwytania zkompromitować Wszakże przypadek ten jest przy powziętych środkach ostrożności, prawie niepodobieństwem. Przecież chodzi tu i o mnie, a jak pan widzisz, nie lękam się niczego. Jestto zaś tak trudna i zawiła do wykonania sprawa, że bez dokładnéj instrukcyi mojéj, jenerał żadną miarą obejść się nie może. — Zresztą gdzie tyle osób na niebezpieczeństwo jest narażonych, tam pojedyńczemu człowiekowi zbyt ostrożnym być się nie godzi.”

W tych ostatnich słowach ukrywało się tak złośliwe szyderstwo, że major do żywego dotkniętym się niém uczuł, i —

»Ha, dobrześ” — odpowiedział niebacznie. „Wezmę papiéry Nieszło mi tu o moje osobiste bezpieczeństwo, lecz o wyraźne rozkazy jenerała. Ztémwszystkiém proszę mi dać swoję instrukcyję.”

»Co do mojego przyrzeczenia panu ręki Eleonory” — rzekł Arnold daléj, oddawszy z uśmiéchem papiéry majorowi — »tedy oświadczam powtórnie, że skoro wojska angielskie do Westpoint wejdą, zaślubienie wasze nastąpi. Jeżli przedsięwzięcie nie powiedzie się, to i ja żyć przestanę, a natenczas róbcie sobie co chcecie. Bądź co bądź, dzisiejszy mój stan jest mi nieznośnym. Tylko dla tego, żem się stał potrzebnym, pochlébia mi kongres. Gdy ten czas minie, zechcą mnie się pozbyć czémprędzéj. Ale omylą się w tém mocno, albo chyba z życiem nie wyjdę.”

Poczém zaczął Arnold rozwodzić się ze skargami na Washingtona i resztę jenerałów i członków kongresu, od których wszystkich, jak mówił, najniegodziwszego doznał obejścia się i zapoznania, i tak przy tém széroko się rozgadał, że major żadnym sposobem od tego przedmiotu odwieść go nie mógł. Ponieważ jednak czas coraz bardziéj upływał, tedy niepozostało Andrému nic innego, jak wprost przypomnieć, że wyznaczona godzina już upłynęła, i pora już powracać. Lecz mimo to odprowadzał go Arnold śród ciągłych wyrzekań na swoich przeciwników, bardzo powoli do łodzi, mówiąc, iż dla tém większéj pewności wyda mu paszport, za którym przez czaty amerykanskie z łatwością przepuszczonym zostanie, i który w istocie mu też doręczył.

Gdy major pożegnał Arnolda, i wszedł do łodzi, obrócił się przewoźnik doń z niechęcią, i rzekł:

„Czekałem pana jak na śpilkach. Zanim do statków strażniczych zapłyniemy, dzień się zrobi, i nowa straż zaciągnie, która nic o rozkazie przepuszczenia nas nie wie.”

„Mam paszport od jenerała” — nadmienił André.

»I chcesz pan może pójść w uniformie do twierdzy, aby go sobie tam dać zatwierdzić?” przejął przewoźnik z ironiją. — „Albo mamy się zapuszczać w rozprawę z strażą na statkach, która nas ciekawie oglądać i wypytywać zechce? Nie potrzeba nam niczego więcej, aby jak najrychléj do królestwa niebieskiego się dostać, czego ja przynajmniéj wcale nie pragnę. Nie, musimy sobie inaczéj postąpić. Wylądujemy o mile ztąd, i będziemy się starali piechotą przez amerykańskie przejść czaty. Wypada jednak abyś pan zdjął uniform.”

„W żaden sposób!” zawołał żywo André. „Mam też ważne papiéry przy sobie.”

„Mniejsza o to” — rzekł Smith — „schowasz je pan w buty. Zresztą przeprowadzę pana aż poza czaty, dopoką niebezpieczeństwo grozić ci może. Znam wszystkie ścieżki, i mało dwadzieścia razy przechodziłem pomiędzy czaty, nie będąc ani razu zatrzymanym. Na każdy wypadek jestto jedyna droga jaka nam pozostaje, gdyż chcieć teraz za dnia środkiem statków strażniczych płynąć, byłoby istném szaleństwem.”

„Major uznawał bardzo dobrze, że Smith ma słuszność, i skoro łódź w ukrytym zakątku do brzegu zawinęła, zdjął uniform, schował depesze w wyżwymienionym sposób; poczém obaj krętémi, i zapewne mało komu znanémi ścieżkami, w lesisty głąb kraju się zapuścili.

Szli tak może już z półgodziny, gdy Smith nagle kroku przyspieszył. André, który zaledwie mógł za nim zdążyć, przypisywał to otwartszéj tu nieco drodze. Wkrótce jednak wrócił Smith do dawnego powolniejszego kroku, i rzekł:

„Przechodziliśmy właśnie środkiem czat amerykańskich. Po prawéj i lewéj stronie, o jakich tysiąc kroków od siebie, stoją tu widety Jankesów,

a niekiedy i patrol tędy krąży. Atoli jużeśmy ich szczęśliwie ominęli.»

Niebawem rozrzedniał las, a dwaj wędrowcy wyszli w pole, i stanęli u małego mostu nad potokiem.

„Jesteś pan teraz w bezpieczeństwie, i możemy się rozejść” — ozwał się Smith daléj »Tu już żaden patrol nie dosięga. Weź się pan drogą przez ów pagórek, poczém zwrócisz się w lewo ku lasowi, kędy mało kto chodzi. Droga w prawo wiedzie obok kilku zagród gospodarskich, i bywa niekiedy przez angielskich „krowiarzy” (przezwanie korpusu ochotników) najeżdżaną. Obie drogi prowadzą do „białych nizin”, gdzie wasze czaty przednie stoją; a tak nie możesz pan już zbłądzić. Uniform pański ukryję w lesie.”

Andrému jakby kamień spadł z piersi. Był już więc z papierami poza obrębem nieprzyjaciela, i szczęśliwie posłannictwa dopełnił Za godzinę mógł stanąć w obozie angielskim. Pożegnał kilką słowy przewodnika, i wesoło ku wzgórzu dążył. —

Nazajutrz rano jechał jenerał Washington przy boku młodego jasnowłosego mężczyzny w stroju jeneralskim, otoczony orszakiem oficerów, krętą drożyną, wijącą się wzdłuż wybrzeży Hudsonu, w obliczu twierdzy Westpoint.

»Co za cudowna okolica!» rzekł Washington do swego towarzysza, zatrzymując konia u rozstajnéj drogi — „Widzisz pan te parowy, ten las odwieczny, tę rzékę majestatyczną! Jakże spaniale wyda się tu salwa armatnia, którą przebywając rzékę usłyszym! Nie prawdaż Lafayette?”

»Zapewne, to wszystko bardzo piękne i wzniosłe” — odpowié młody jenerał — »atoli zapominasz jenerale o innéj piękności, któréj także nie powinniśmy dać długo czekać na siebie. Pani Arnold wygląda nas ze śniadaniem, a jadąc na Westpoint, zbyt długo się zatrzymamy.”

„Wiém ja” — ozwał się Washington z uśmiéchem — „wy młodzi, jesteście wszyscy w jenerałowéj zakochani, i zawsze wam spieszno do niéj. A więc jedźcie sobie tam wszyscy. Pan, Tombleson” — dodał zwracając się do jednego z oficerów sztabowych — »który się już do młodych i zakochanych nie liczysz, zostań przy mnie; obejrzymy jeszcze niektóre okopy; a potém zdążym za tamtymi. Ale powiedźcie pani jenerałowéj, aby nas ze śniadaniem nie czekano.”

Słowa te wyrzekł wódz naczelny tak uprzejmym i dobrodusznym tonem, że Lafayette i dwóch adjutantów bez dalszego ociągania się, z dozwolenia jenerała natychmiast skorzystali, i żwawo ku pobliskiemu dworkowi Arnolda, konie w kłus wypuścili.

Jenerał, i jego żona z Eleonorą, przyjęli przybyszów przed progiem domu. Pan Arnold był nieco małomowny i zamyślony, i powiadał, że od dni kilku niezdrów się czuje. Zatoż pani Arnold zachowała nie tylko piękność ale i cały urok swojéj pierwszéj młodości, i wyglądała dziś powabniéj niż kiedykolwiek. Dla młodego Francuza jak Lafayette, było to dostatecznym powodem, aby całą swoję uwagę poświęcić gospodyni domu, podczas gdy obaj adjutanci bawili się z Eleonorą i Arnoldem. Nagle, zaledwie do śniadania się zabrano, wszedł służący z listem do jenerała Arnolda, który rzuciwszy weń wzrokiem, pobladł okropnie, i dopiéro szybko wychyloną śklanką wina odwagi do zupełnego odczytania sobie nadał.

»Osiadłać czémprędzéj konia!» zawołał potém do służącego, po którego odejściu zwrócił się do towarzystwa, i rzekł spokojnie:

„Jestem potrzebnym w Westpoint. To jednakże niech państwu nie przeszkadza bawić tu swobodnie jaknajdłużéj; owszem, proszę wyraźnie o to. Za chwilę wrócę; tymczasem raczcie mię wytłumaczyć.» Po tych słowach wyszedł z pośpiechem.

„Zapewne postrzeżono w Westpoint, iż wódz naczelny nadjeżdża, i dla tego przysłano po jenerała” — ozwał się Lafayette.

»Nie inaczéj!» potwierdził jeden z adjutantów.

»A więc niech nam to zabawy nie psuje” — dodał Lafayette żywo — »bo zaprawdę, lepiéj niż tutaj nie mógłbym w całéj Ameryce się bawić!”

I wznowiono tedy dawną rozmowę, która jednak rychło potajemném wywołaniem gospodyni przez służącego, powtórnie przerwaną została. Pani Arnold weszła za służącym do gabinetu swego męża, stojącego tam z rulonem dukatów i parą pistoletów w ręku. Ujrzawszy żonę, przystąpił jenerał do niéj, i zaprowadził ją ku sofia.

»Nie przestrasz się tém, co tu ci powiém” — rzekł głucho — „Opuszczam cię, może na zawsze. Życie moje od téj chwili zawisło. Jeżli się dość wcześnie do obozu nieprzyjacielskiego nie dostanę — zginąłem.»

Chciał jeszcze kilka słów dodać, lecz pani Arnold leżała już omdlała na ziemi. Podniósł ją szybko, złożył na sofie, porwał kapelusz i szablę, i wybiegł. Na dworze dopadł piérwszego lepszego konia, i pognał jak szalony ku wybrzeżom Hudsonu.

Po wyjściu pani Arnold rozmawiali Lafayette i jego towarzysze z Eleonorą. Wkrótce i ta została odwołaną, lecz po chwili wróciła mocno zmieszana, oznajmiając, iż pani Arnold nagle zasłabła. Oficerowie zaczęli się naradzać, czy w takich okolicznościach mają tu zostać dłużéj, czy odjechać do Westpoint, aby się tam z naczelnym wodzem połączyć. Na to jeden z adjutantów uczynił uwagę, iż Washingtona zapewne w twierdzy nié ma, jeżli dotąd zwykłéj salwy powitalnéj nie usłyszano, przeco można go się raczéj każdéj chwili tutaj spodziéwać Atoli czekano na próżno aż do czwartéj godziny, i zaczęto się już niepokoić, gdy wtém dał się słyszéć tętent

kopyt na dworze, a po krótkiéj chwili Washington wszedł do pokoju.

„Czy jenerał Arnold chory?" było jego pierwszém pytaniem.

Odpowiedziano, że jenerał do Westpoint odjechał.

„Niepodobna" — rzecze Washington zdumiony. — „Przybywam właśnie ztamtąd. Zadziwiło mię, że zwyczajnéj salwy nie dano, a mówiąc z oficerami, dowiedziałem się, iż jenerała Arnolda od wczoraj w twierdzy nie było. Widziano mię po drugiéj stronie rzéki przednie poczty zwidzającego, a nie mając żadnéj wiadomości od Arnolda, wnoszono, że nie będę wstępował dziś do twierdzy. Aż do mego oddalenia się z Westpoint, nikt o Arnoldzie nie słyszał.

Na to wszczęła się żywa rozprawa o pobudkach, jakie Arnolda do tak dziwnego postępowania skłonić mogły. Rozprawę tę przerwało spieszne wnijście kurzem i znojem okrytego oficera, który zwróciwszy się do Washingtona, ozwał się szybko w te słowa:

»Kapitan Jameson, dowodzący w Northcastle, wyprawił mię do waszéj ekscelencyi z doniesieniem, iż siedmiu amerykańskich osadników, którzy wczoraj poza obrębem naszych czat przednich w zasadzce na angielskich »krowiarzy" się zaczaili; młodego po cywilnemu ubranego, ale podejrzanie wyglądającego mężczyznę przytrzymali. Chcąc go tém pewniéj wybadać, powiedzieli mu, iż są właśnie tymiż angielskimi ochotnikami, na których sami czatowali, i wyłudzili na nim w ten sposób wyznanie, że jest oficerem angielskim; poczém wziąwszy go pod straż, zaprowadzili go do Northcastle. W butach jego znaleziono papiéry, które kapitan Jameson tu przysyła. Zarazem prosił jeniec, aby mu pozwolono pisać do waszéj ekscelencyi, i oto jest list od niego."

Washington rozpieczętował pismo, i z uwagą je przeczytał.

„Smutny to wypadek" — rzekł po chwili, ściskając ramiona — „adjutant jenerała Clinton, major André, był tak nierozważnym, iż dla rozmówienia się z pewną osobą przekradał się przez nasze czaty przednie, i został w s t r o j u c y w i l n y m pojmany."

A taż osoba, któż to?" zapytał Lafayette.

„Nie wymienia jéj" — odpowie Washington. — „Może te papiéry nas oświecą. Ależ o nieba!" — zawołał rozwijając plik papiérów. — „Cóż to! Plan twierdzy Wespoint! Nieszczęsny, zginął, a my mamy zdrajcę pomiędzy sobą!"

„Gotów jestem nazwać go po imieniu!" — ozwał się adjutant Tombleson, stary, doświadczony wojskowy.

„Może się pan mylisz" — przejął Washington, spoglądając pełnym znaczenia wzrokiem na adjutanta — „Ponieważ zdrada się nie powiodła, tedy należałoby prawie życzyć, aby sprawcę jéj nie odkryto, a raczéj, aby oddalony od wojska, w odległym zakątku kraju, sam hańbę swoję ukrył.«

Podczas gdy wódz naczelny i oficerowie w ten sposób zcicha na uboczy rozmawiali, a Washington wreszcie kuryjera z Nothcastle odprawił z rozkazem, aby więźnia do głównéj kwatery przystawiono; Eleonora zastawiała na małym stoliku śniadanie dla Washingtana, który od rana nic jeszcze nie jadł. Zaledwie jednak wódz naczelny zajął miejsce za stołem, przybył ordynans z nowém doniesieniem od oficera, mającego dowództwo nad strażniczémi statkami na Hudsonie.

»Gdy wasza ekscelencyja« — pisał tenże — »właśnie do Westpoint się udałeś, przebył jenerał Arnold w sześciowiosłowym statku moję linię, wołając do mnie w przejeździe, że z rozkazu waszéj ekscelencyi udaje się jako parlamentarz na pokład nieprzyjacielskiego okrętu, stojącego śród rzéki na kotwicy. Wkrótce potém widziałem, jak dał znak białą chustką, naco z okrętu wywieszeniem bandery odpowiedziano. Teraz przed chwilą wrócił statek nazad, jednak bez jenerała, jedynie z listem do waszéj ekscelencyi, który tutaj załączam.«

Washington rozpieczętował list szybko, przeleciał go okiem, opuścił ręce, i pochyliwszy głowę, rzekł smutno do Lafayetta:

»Czytaj jenerale! Komuż tu jeszcze dowierzać można!«

»Czyliż nie przeczuwałem!« — zawołał wściekle Tombleson — »Nie prawdaż, Arnold nas zdradził, i przeszedł do nieprzyjaciela?«

»Tak jest« — odpowiedział Washington posępnie. — »Pisze mi, że nie chce sobie zadawać pracy, aby się wytłumaczyć z kroku, który gmin bez względu potępiać będzie. Niewdzięczność jego rodaków jest mu wiadoma, i nie spodziewa on się też po nich żadnéj sprawiedliwości dla siebie; własne sumienie jest mu jedyną pociechą. Obaj adjutanci jego nie wiedzieli nic o jego planach; jedyną łaską zaś, o którą prosi, jest: aby żonie jego, czystéj i niewinnéj jak anioł, pozwolić udać się do Filadelfii.«

»Dobrześ przynajmniéj« — ozwał się Tombleson z gniewem — »żeśmy jego spólnika dostali. Oficer przekradający się bez uniformu z zdrajczémi papiérami przez czaty nieprzyjacielskie, jest wprost szpiegiem i jako taki ukaranym być powinien.»

»Lękam się doprawdy« — rzecze Washington z ubolewaniem — »że go smutny los spotka. A żal mi szczerze tego młodego człowieka. Raz jedynie widziałem go na krótko, lecz jedna pobieżna wzmianka z ust jego, przekonała mię o jego niezwykłych zdolnościach wojskowych. Jenerał Clinton będzie go zapewne reklamował; ztémwszystkiém muszę go poddać pod sąd wojenny, który prawdopodobnie surowy nań wyrok wyda.«

Przez dłuższy czas rozmawiali tak oficerowie pomiędzy sobą, podczas gdy jenerał Washington głęboko się zamyślił. Wtém weszła Eleonora, a wódz naczelny otworzył nagle pugilares, i napisał coś ołówkiem na kartce, którą potém wydarłszy, oddał Eleonorze, mówiąc łagodnie:

»Doręcz to kochana *miss* pani Arnold. Oraz powiédz jéj: niech się uspokoi, i wprost do mnie się uda, gdyby rady albo pomocy potrzebywała.«

Poczém pożegnawszy się uprzejmie, wyszedł wraz z towarzyszami z pokoju, i wsiadłszy na koń, odjechał.

Eleonora rzuciła przelotnie okiem na kartkę, i wyczytała:

»Mąż pani jest na pokładzie angielskiego okrętu. Małżonka może się cieszyć z jego ocalenia.
Washington.«

Z radością pobiegła Eleonora do przyjaciółki, wręczyć jéj te słowa pocieszające. Nieboga nie wiedziała, że ten, kogo jéj serce wybrało, nierównie smutniejszemu niż Arnold popadł losowi. Ile że Washington z oficerami zcicha i tylko w niebytności Eleonory o zaszłym wypadku rozmawiał, a pani Arnold w nieszczęsne porozumienie jéj męża z majorem André wtajemniczoną nie była, ani też o pojmaniu kochanka swéj przyjaciółki nie słyszała; przeto nie mogła biedna Eleonora domyślać się, co się stało. Tymczasem los majora André obudził żywy udział w obojém wojsku. Nie tylko bowiem Anglicy, lecz i Amerykanie uznawali i cenili znakomite zdolności i prawy, ujmujący charakter adjutanta jenerała Clinton. Skoro sam jenerał dowiedział się o wypadku, napisał najprzód do Washingtona, a potém wysłał nawet za tegoż zezwoleniem, trzech oficerów do głównej kwatery amerykańskiéj, w celu zbadania wszystkich okoliczności, któreby postępowanie Andrego usprawiedliwić mogły. Ci dopełnili swego zlecenia z prawdziwie braterską troskliwością, a szlachetny Washington ułatwiał im wszelkiemi sposoby wynalezienie dowodów, przedstawiających postępek Andrégo jako zgodny z przyjętemi śród wojny zwyczajami. Wszakże byłoto niestety niepodobieństwem. Oficer nieprzyjacielski, przekradający się przez czaty przeciwnika, w stroju cywilnym z papierami kompromitującemi, uważany bywa za szpiega, i ulega śmierci haniebnéj. Lubo uroczyście przeciw temu protestując, jednakoż w duszy o słuszności postępowania nieprzyjaciół przekonani, opuścili oni obóz amerykański. Zresztą im mniéj nadziei ocalenia młodego majora zostawało, tem się względniej i szlachetniej w więzieniu z nim obchodzono. Straż nad nim otrzymał jego przyjaciel Talmadge, który tymczasem z kapitana na majora postąpił. Wszyscy amerykańscy oficerowie, z którymi André miał znajomość, odwiedzali go, i zewsząd najżywszy udział mu okazywano. Po ukończoném śledztwie, przy którém nieszczęśliwy więzień z największą stałością nazwisko swego przewodnika zataił; złożono z czternastu najznakomitszych oficerów sąd wojenny. Wszyscy sędziowie ubolewali szczérze nad losem majora, lecz musieli wydać wyrok według ustaw i winy. Ustawy były jasne, wina nie do zaprzeczenia — wyrok wypadł: na śmierć.

Nadaremnie jenerał Clinton jeszcze raz u Washingtona się wstawiał, nadaremnie pisał tenże do kongresu. Kongres potwierdził wyrok. Należało dać surowy przykład w wojnie, w któréj nieprzyjaciel, jak to wszyscy wiedzieli, mnogie porozumienia z krajowcami utrzymywał, i nikt też nie śmiał zganić téj surowości.

Gdy zapadły wyrok tak w angielskiém jak i amerykańskiém wojsku, równe prawie dla skazanego wzbudzał spółczucie; sam André zachował dziwną spokojność i pogodę umysłu, która istotnie nadprzyrodzoną się zdawała. Z największą obojętnością mawiał często o daremném użyciu wszelkich kroków o jego ocalenie, dodając, że w podobnym razie, on sam innego nie wydałby wyroku. Jedyném jego cierpieniem była myśl, aby Eleonora, w daleko większym od niego stopniu katusze jego dzieląca, nie dowiedziała się o wyznaczonéj godzinie i chwili śmierci jego. Wszakże odjęto mu szczęśliwie ten kielich goryczy, bo zanim jeszcze wyrok wydano, przyniósł mu Talmadge wiadomość, że tegoż samego dnia, kiedy Arnold do nieprzyjaciela uszedł, żona jego z Eleonorą do Filadelfii odjechała. W ostatnie pożegnanie napisał André jeszcze list do jenerała Clinton, w którym wynurzając mu wdzięczność za wszelką doznaną odeń łaskę i przyjaźń, poruczył oraz swoją matkę z dwiema jéj córkami opiece jego i rządu, za który ginął.

Byłoto z rana w pierwszy dzień października, kiedy wczesna jesień starożytne, olbrzymie drzewa, wznoszące się nad malowniczém wybrzeżem Hudsonu, wszelkiémi barw odcieniami przystroiła, a tylko jeszcze jedna doba do życia Andrému pozostawała. Mimo to siedział on spokojnie w narożnym pokoiku małego osadniczego dworku, za więzienie mu wyznaczonego, i rysował przy oknie swój własny portret. Chciał go zostawić na pamiątkę swojemu przyjacielowi Talmadge, który w boleśném milczeniu stał o podal. Prócz straży przede drzwiami, nie było żadnych innych środków ostrożności, ile że major Talmadge wszelką odpowiedzialność wziął na siebie, i w istocie też sam ciągle przy przyjacielu bawił.

Po mojéj śmierci« — ozwał się André, rysując spokojnie daléj — »każ ciało moje pogrzebać na owym wzgórku, u stóp starego dębu, co się na jego szczycie wznosi. Ztamtąd można zapewne dojrzéć Westpoint i dworek, w którym Eleonora mieszkała. Miłoby mi było tam spoczywać.«

»Jeźli tego żądasz, uczynię to« — rzekł Talmadge, powstrzymując gwałtownie żal w piersi. — »Wszakże jeźli mię przeczucia moje nie mylą, tedy nie będziesz tam długo leżał. Popioły twoje zostaną przeniesione do Westminsteru, albo już chyba Anglija, cnoty swoich synów cenićby zapomniała.«

»Portret Eleonory, który sam malowałem, i ten pukiel moich włosów, oddaj jéj własnoręcznie, i powiedz jéj: że ona i ojczyzna, były moją ostatnią myślą.«

W téj chwili wszedł stary sługa angielskiego majora, który przyprowadzony przez owych trzech oficerów, pozostał na własne żądanie przy swoim dawnym panu.

»Jest tam jakiś Indyjanin» — rzekł stary. — »Powiada, że pana zna, i chce go jeszcze po raz ostatni obaczyć.«

»Mam go wpuścić?« — zapytał Talmadge.

»Jeźli wolno« — odpowiedział André. »W prawdzie nie przypominam sobie żadnego Indyjanina, któregoby los mój zajmował.«

Talmadge wyszedł na dwór, i wrócił po chwili w towarzystwie oznajmionego.

Na pierwszy rzut oka poznał w nim André rysy »Czarnego ptaka«, za którym on w Bostonie wobec jenerała Gage świadectwo dawał. Zadziwiło to zaraz więźnia, iż Indyjanin nie według zwyczaju swego plemienia, lecz na sposób Czerokesów, sprzymierzonych z Amerykanami, był pomalowanym; podobnież i mokasyny i dera, którą miał na sobie, były innéj niż u Mohaków roboty. Przyszło więc na myśl Andrému, iż »Czarny ptak« może być tajemnym wysłańcem Anglików, i przeto tak się przebrał. Przemowa Indyjana zdała się w tém go utwierdzać.

»Poznaliśmy się na wojnie w kraju ku północy« — ozwał się Indyjanin złą angielszczyzną. »Mój brat wybiéra się w daleką drogę. »Czerwony człowiek« pragnął go jeszcze raz widzieć, za nim wejdzie w kraj duchów.«

André uścisnął Indyjana przyjaźnie za rękę, i podziękowawszy mu za pamięć, rozpoczął rozmowę obojętną, na którą jednak »Czarny ptak« tylko półsłówkami odpowiadał.

Po niejakim czasie zmieniono straż, a Talmadge,

mając odchodzącemu żołnierzowi dać jakieś polecenie, wyszedł na dwór. Po jego oddaleniu się zerwał się Indyjanin piorunem z krzesła, i przystąpiwszy do więźnia, położył mu zlekka dłoń na ramieniu, i rzekł:

»Przyszedłem brata mego uwolnić. — Skoro oficer powróci, wyjdę do sieni, i tomahakiem głowę żołnierzowi wartującemu rozpłatam. Mój brat przebije tymczasem oficera tym nożem»— tu dobył nóż o wązkiéj klindze zpod dery — »i wyskoczy przez okno.»

André był tą niespodzianą doradą tak zdziwiony, iż nie mógł wyrzec słowa. Indyjanin wziął to za zezwolenie.

»Przenigdy!» ozwał się wreszcie André. — »Ten oficer jest moim przyjacielem, moim bratem.«

»Tedy niech mój brat zabije tomahakiem żołnierza na straży, a ja przytrzymam oficera, nic mu zresztą nie robiąc. «

»Nie!» odparł André usilniéj. — »To być nie może. Podobny czyn okryłby mię hańbą. Obyczaje nasze nie pozwalają tego.«

»Więc pobiegnę i zwołam pięćdziesięciu z moich ludzi. Zaczaimy się téj nocy w zasadzce. Mój brat będzie nad rzékę na stracenie wyprowadzony. Natenczas wypadniemy z zasadzki, i odbijem cię przemocą zpośród żołnierzy.«

»To niepodobna«— rzekł André — »Powstałaby ztąd rzeź nadaremna. Niech mój brat niczego — niczego nie rozpoczyna.«

»Bieli ludzie zmieniają często zamysły« — odparł Indyjanin — »lecz »czerwone skóry« dotrzymują co raz wyrzekną. Niechże mój brat przybywszy na plac katuszy, chustkę w górę na znak podrzuci.«

»To być nie może« — rzekł André— »Jeźli zaś mój brat chce mi przysługę wyświadczyć, tedy niech dziś jeszcze pójdzie do jenerała Clinton, i oznajmi mu, że chętnie umiéram, i ostatnie przesyłam mu pozdrowienie.«

Tu Talmadge znowu wszedł do pokoju. André podał Indyjaninowi rękę do uścisku. Z spółczuciem, które tylko w ponurém oku, ale nie w ciemnych, marmurowych rysach się malowało, przemówił Indyjanin w pożegnanie: »Niech mój brat spokojnie w szczęśliwszą idzie krainę«— i nie spojrzawszy nawet na majora amerykańskiego, oddalił się.

»Byłato ostatnia kropla w moim kielichu goryczy«— ozwał się André, zakrył sobie twarz rękoma, i dopiero po niejakim czasie, rozmowę z przyjacielem odnowił.

* * *

Dwa dni upłynęło. Trzeciego dnia zrana oznajmiono jenerałowi Clinton, iż parlamentarz nieprzyjacielski u pocztów przednich stanął.

»Konia!» zawołał żywo jenerał, i w towarzystwie adjutanta i małego orszaku pognał na spotkanie parlamentarza

»Ach, major Talmadge!« ozwał się Clinton, postrzegając oficera amerykańskiego »Cóż nam za wieści przynosisz? Żyje czy zginął?»

Talmadge spojrzał ku niebu.

»A więc zginął!» — rzekł jenerał boleśnie »i jakąż śmiercią?»

»Bohaterską!« odpowiedział Talmadge. »Z serdeczném spółczuciem spoglądało nań całe wojsko, jako też i lud zebrany. Major André postępował spokojnie i śmiało na plac śmierci, któréj bynajmniéj się nie lękał. Witał wszystkich znajomych, i wszyscy też z uszanowaniem wzajem mu się kłaniali Przybywszy na miejsce, wyciągnął nagle białą chustkę z kieszeni, i śmiało głowę podniosłszy, oczy sobie zawiązał. — W kilka chwil późniéj — żyć przestał »

»Byłże Washington przy jego śmierci«— zapytał Clinton po długiém milczeniu.

»Nie, nie mógł on tego przenieść na sobie« — odpowiedział Talmadge. »Tylko ja na własne żądanie mojego przyjaciela, towarzyszyłem mu w téj ostatniéj drodze. Przed śmiercią dawał mu jenerał Washington wielokrotne dowody prawdziwego szacunku i spółudziału, jakoż i wszyscy żałowali go z duszy. Nawet pewien Indyjanin z plemienia Czerokesów odwidzał go w dzień przed straceniem. Gdy majora na śmierć prowadzono, stał tenże sam Indyjanin opodal u brzegu gęstych zarośli. Lubo ci ludzie mało kiedy zewnętrznemi oznakami uczucia swe wynurzają, zdawał on się przecież brać szczery udział w losie majora, gdyż w ostateczném chwili obrócił się z przerażeniem, jakby w nadziei łaski dla więźnia omylony, i znikł w zaroślach. — Przybyłem tutaj« — dodał Talmadge po niejakiéj przerwie — »aby ci panie jenerale doręczyć niektore pozostałości po naszym przyjacielu. Raczysz je przesłać jego rodzinie. Oraz prosimy cię, abyś jego starego sługę wziął w opiekę.«

»Nie zapomnę ani jednego ani drugiego« — odrzekł jenerał.

Poczém ze łzami w oczach rozstali się obaj przyjaciele zawcześnie straconego.

* * *

Talmadge miał słuszność przepowiadając Andrému, iż cały kraj z wdzięcznością imię jego wspominac będzie. Nie zdala od ojczyzny, pod starym dębem nad Hudsonem, lecz w Westminsterze, obok trumien królów i znakomitszych synów Anglii, spoczywają popioły młodego wojownika, w świetnym pogrzebane marmurze. Krótki napis świadczy, iż zginął za Brytanię.

Przez długie lata opłakiwała Eleonora stratę kochanka, nim wreszcie i ona też za nim poszła. Pamięć jego przedwczesnej śmierci zwarzyła na zawsze szronem ranne i zaledwie rozwijające się kwiecie jéj szczęścia.

Arnold umarł w Anglii, wzgardzony i zapomniany, z lichéj utrzymując się płacy. Nadaremnie starał się usprawiedliwić w Ameryce swój postępek. Nikt się tam za nim nie ujmował prócz jednéj żony.

Pismak pokątny.

(Winkelschreiber).

Jedno z pism austryjackich „*Stiria*“ skréślając obraz pokątnego pismaka, jako skrytego kłótnika spokojności towarzyskiéj; czyni wreszcie następujące zapytanie: „Cóżto jest właściwie ten pokątny pismak? Zkąd powstała jego nazwa? Gdzie się to szkodliwe żwiérzę wylęga, czém się hoduje, i czém żyje? — Opisanie, które tenże sam dziennik w odpowiedź daje, tém chętniéj tu umieszczamy, że się może i u nas znajduje jaka podobizna, któréj się ustrzedz należy. —

„Pismak pokątny“— mówi tenże dziennik „*homo bestialis loquax et scribens*“ należy do rodzaju tak zwanych wężów domowych, których wieśniacy za nieszkodliwe płazy mają, a które przecież ich dojnym krowom, wymiona kaléczą i mléko wysysają, a co oni przez zabobon, nie tym krwawym pijawkom, lecz gusłom czarownic przyznając, stawią im w kącie miseczkę słodkiego mléka, aby i to polubione żwiérzątko swój pokarm miało.

Pismak pokątny jestto jadowite, o zębach ostrych czołgające się żwiérzę, które się do nitki usta-

wy tajno podsuwa, aby ją przegryźć, i wszystko, co tylko nią w prawność i porządek spojone, złośliwie rozerwać, potargać i w nieład zawikłać; nie zważając bynajmniej na to, jakie, i jak wielkie szkody ztąd wyniknąć mogą; byle tylko to zwierzątko, swojéj nienasytnéj żądzy, i podléj, osobistéj korzyści, zadość uczyniło.

Jad pokątnego pismaka jest bardzo niebezpieczny; już jedna, najmniejsza kropelka tego złością spienionego soku, zabija życie moralne, roztacza i pali siły żywotne, trawi i niszczy wszelkie zabiegi i usiłowania.

Pismak pokątny mając ośle uszy, podobne do lejka, w który najlżejszy oddźwięk, jak najgłębiej wirowo się wtacza — ma słuch tak ostro wydoskonalony, iż się w nich każde najcichsze, chociaż niesłuszne i nieprawomocne zażalenie, bądźto kmiotka, bądź mieszczanina, jakby ogromne echo, wielokrotnie odbija, wraz dagerotypuje, i na papiérze jak: podanie, prośba, zaskarzenie lub dokument pojawia; a co urzędom, jedynie tylko dla porządku i dobra poddanych ustanowionym, w dochodzeniu prawdy i wyjaśnieniu rzeczy, nie mało daremnego mozołu i nieużytecznéj pracy przysparza, umysły rozwaśnia, do kłótni zapala, obywatelski pokój i zgodę zamąca, między gminy i korporacyje, zacięte zwady i niesnaski wprowadza, i wszelki ład całego towarzystwa, narusza lub zupełnie niszczy.

Oczy pokątnego pismaka są to małe, zpod powieki zyzem świdrujące jaszczurki; a że pismak pokątny na ślepo kąsa, ujada się i wścieka, że brudzi i opługawia, kole, docina, zatruwa, i moralnie zabija; mniemano, iż on jest istotnie wzroku pozbawiony; ale mylnyto wniosek i rzecz ma się inaczéj; jego wzrok jest bezwstydny, zuchwały, natrętny, wyzywający, zabójczo-urokliwy; wszędzie on jakąś nieprawność, nieporządek, niesłuszność, przekroczenie spostrzega; zawsze w ustawodawstwie jakiś błąd widzi, a nawet w wysokich, i najwyższych urzędach, dowolność upatruje; wszędzie okiem bystrowidza bacznie czuwa, a najbaczniej — niestety po wsiach, ów gadzinny wzrok wytęża, który ptaka czarownym urokiem tak odurza, że się temu pełzającemu gadowi, bez wszelkiego oporu, na pożarcie oddaje. O, biada temu nieszczęsnemu, co przed wzrokiem téj jadowitéj ropuchy, uniknąć nie zdoła! Czas, pieniądze, spokój duszy, zgoda domowa, idą marno i do szczętu znikają; aż nareszcie żal, zgryzota, skutki pokątnego pismactwa, nieprawnémi doradami spieniaczonej ofierze, coraz bardziéj zdrowie wątlą, i do grobu ją wiodą.

Najjadowitszym członkiem ze wszystkich członków ciała pokątnego pismaka jest jego język; on mu mieczem, pługiem, sztyletem, on mu całém jego bogactwem; ale bo też jestto język ostro spiczasty i lekko zwinny; ba nawet umie tak mamiąco-złudnie słodki głos syreny udawać, iż się nie ma czemu dziwić, jeżeli tą zwodniczą nutą zwabiony, w straszliwą przepaść nieposłuszeństwa, nieobyczajności i zepsucia wleci. — Język pokątnego pismaka nieoszczędza ani światowéj ani duchownéj zwierzchności; wydaje z bezwstydną, straszliwą pewnością na wszystko swój wyrok grzeszny. Jakoż właśnie w tém zuchwałém bezczeszczeniu mieszka zaród chorobliwego raka, téjto żywożérczéj gangrény, którą, aby się po zdrowym organizmie ciała, zabójczo nie rozszérzyła, zawczasu, już w samém jéj korzeniu, wytępiać trzeba.

Jużby te główne, z historyi naturalnéj, przytoczone zarysy, były może dostateczne do ukończenia opisu pokątnego pismaka; ale gdy obraz jego *al fresco* malujemy, więc mu dla wyrazistszego odcieniowania, kilka jasnobłysnych dorzutów, nie pożałujemy.

Pismak pokątny co do zmiennej barwy swojéj, podobien chameleonowi; ba co więcéj, anatomiczne doświadczenia przekonały, że jego serce z piekielnego kamienia, że ten *lapis infernalis*, czego się tylko dotknie, wszystko przegryza i przepala. Jego żołądek saméмi tylko łacińskiémi, niestrawionémi paragrafami i czczémi formułami wypchany. Jego mózg pod rozkład wzięty, okazuje widocznie, że samémi tylko od reguły rozumu wybokami jest podziurawiony i pokrzyżowany; przez co do mózgu osła podobny, dla swego krnąbrnego uporu; do mózgu kozła, przez swoje zdradne z tyłu tryksy; niemniej i do mózgu rozbestwionego bawołu, który najpiękniejsze dzieła sztuki, gdy pod jego racice popadną, w błocku ulicznem zaciekle na niwec depcze. — Własności wilka, lisa, kota, są najwydatniejszą przymiotowością mózgownicy pokątnego pismaka; jednakże z tą różnicą, że ony jakby spirytus niezrozumiałych rozporządzeń, w rozdęty pęcherz wszystkie razem wlane i podkwasem rozczynione, raz wraz się burząc, nieustannie się rozdymają.

To zwierzę — pismak pokątny, żywi się brudnémi papierowémi okrawkami, a z nich, pieniędzmi swoich bliźnich; nigdy go bez kałamarza i bez pióra za uchem nie zastaniesz.

Pismak pokątny ma swoje dosadne imię od krętych, karygodnych kątów, po których się tłucze i kryje, i w których obrzydliwy łup swój pożera. Jego zadaniem wzniecanie roztérek, odurzanie, otumanienie, oślepienie, ołgiwanie, oszukiwanie i niestety — uwiedzenie aż nadto — łatwowiernego ludu, który dla tego tak chętliwie i pragnąco go słucha, że ułomności jego pochlebnie głaszcze, błędy pojedyńczych, wzniośle wychwala, a omijanie ustaw i starodawnego porządku, nie tylko zupełnie uniewinnia, ale nawet za największą słuszność poczytuje. Na nieszczęście, to zjadliwe, potworne zwierzę, pokątnym pismakiem zwane, znajduje się wszędzie, i pod każdém niebem bytuje.

Najczęściéj pokątnego pismaka zdybiesz w zamieszkaniu prostodusznego wieśniaka, który czytać i pisać nie umie. Tam onto każe sobie dawać wszystkie, jakie tylko są, papierowe szpargały, zatapia się w nich poważnie z miną głębokiego mędrca, wpatruje się w nie zblizka, wodzi po nich i wprzód i wstecz nosem, a po długiém kiwaniu głową, zaczyna je w najprzewrotniejszy sposób wykładać; biedny chłopek przejęty wdzięcznością, bije mu pokłony, ugaszcza go jak swego mniemanego dobroczyńcę, daje mu przystęp do swojéj kaletki, i tak wpadłszy w zastawioną pułapkę, staje się zaciętym pieniaczem, i nieszczęśliwym człowiekiem.

Nigdzie jednak pokątnemu pismakowi nie powodzi się tak dobrze, jak w karczmie, gdzie wieśniacy zasiadłszy około pełnéj garncówki, raz po raz ją wypróżniają. Tamto on, gdy się już w mózgu zadymi, a język gładko się rozwinie, ma połów nie mały. Wtedyto gotów on za kwaterkę gorzałki, i za kilka złotych, jak ów Judasz sprzedać pana swego; wtedyto staje się wymownym i unośnie przekonywującym, i wtedyto nie jedna ofiara wpada w jego ostre pazury; wtedyto ten doradzca pokątny, ośmiela, zagrzéwa, pobudza, ołgiwa dobrodusznego chłopka, i przyrzeka mu to, czego mu nigdy dotrzymać nie jest w stanie. Łatwo się domyśleć, że ten

niebezpieczny podżegacz, najszczególniéj do walki przeciw ustawie i zwierzchności skrycie poły swe podkasuje. Któż nie widzi tych smutnych skutków, które z tak przewrotnych i karygodnych zabiegów wynikają, albo któżby się ich nie obawiał? — W takito sposób ten plugawy pełzacz — pismak pokątny wiedzie bezwstydnie życie swoje na koszt włościanina; w taki pokusza, zwodzi, i zatruwa serca; w taki sposób sromoci zwiérzchność i ustawę. — —

Są wprawdzie przeciw takim zwodzicielom ludu wymierzone rozporządzenia i środki, lecz nie zawsze ich użyć można, bo uwiedziony nie chce zdradzić swego zwodziciela, który się po ciemnych kątach kryjąc, niewidomie swe żądło wypuszcza.

Ztemwszystkiém jest nadzieja, że przeciw pokątnym pismakom będą najsurowsze środki użyte, czego sobie dobrze myślący i wierni, z całego serca życzą. — Jednakże nim to nastąpi, niech się przed nimi każdy ma na bacznéj ostrożności!

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 22gi i zawiera: 1) Księdza Antoniego Klimy (członka c. k. galicyjskiego Towarzystwa agronomicznego i członka komitetu tegoż Towarzystwa) rzut oka na rolnictwo. 2) Siew rzepy pomiędzy zboże. 3) Myśli Schwerca o rolnictwie. 4) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 5) Wiadomość literacka.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 12ty i zawiera, prócz mód, następujące artykuły: 1) Salon i ulica. Obrazek z życia, przez Józefa Dzierzkowskiego. (Ciąg dalszy). 2) I kiedyż? Wiersz. 3) O piśmie czasowém: „Biblijoteka naukowa zakładu imienia Ossolińskich.“ 4) Wystawa obrazów we Lwowie 1847. 5) Rozmaitość.

Wiktor Hugo. »W Obrazach paryzkich« czytamy o nim następujące zdanie: Powołania poety i powszechnie uznanego talentu, nikt mu nie zaprzeczy, jednakże te swawolne błędy, których się dopuszcza, ćmią połysk ducha jego. Uchybienia przeciw obyczajom, przeciw historyi, królowi i ojczyźnie, przeciw temu wszystkiemu, co uszlachetnionemu umysłowi świętem jest i nietykalném, charakteryzują wszystkie dzieła jego, — każde zdrowe zdanie, każdy głębszy pomysł, poświęca on urojonemu, poetycznemu efektowi; zamieszkała w nim jakaś dziwaczność, która swoie własne piękności niszczy, swoje własne myśli plami. Jestto wolnością znarowione dziécię wieku, które w skutek dzikiéj, nieumiarkowanéj fantazyi, marnuje bujno rozkwitłe zdolności, które na wodzy rozsądku mogłyby najwyższego dobić się szczytu. Wszystkie jego dzieła świadczą o jenijuszu, który w wykrzywienie i poziomość przechodzi. Dziwotwory jego, wzniesione ku niebu i w błocku skalane, zarazem zachwycające i przerażenia pełne, z każdym rokiem się pomnażają, gdy mu przeciwnie, na ideach, na tychto zarodach istotnej tworczości, coraz bardziej zbywa. We Francyi mają go za twórcę romantycznéj szkoły; jednakże grzechy jego, co do obyczajów i dobrego smaku, pozbawiły go wszelkiéj wiary u myślącego świata. Na takie bowiem przeniewierzenie się zdrowemu rozsądkowi, i największéj pogardy godne sposoby, któremi on panującym dziś namiętnościom schlebia, i ulubionemi gminowi pomysłami, majestat historyi znieważa, przy mylném ubieganiu się jego za osobliwością i podziwem; nic nam więcéj nie pozostaje, jak tylko ramionami wzruszać. W dramacie zagubił już zupełnie nitkę całość zszywającą; w uniesieniach lirycznych, do których najwięcéj jest uzdolniona wyuzdana fantazyja jego, pokrywa istotnie poezyjna barwa mętne wyskoki chorowitéj wyobrażności jego, i częstokroć gdzie niegdzie wystrzela w jasnobłysne piękności, wielkiego podziwienia godne.

Monstrancyja. W główniejszych uroczystościach a szczególniéj na Boże Ciało, przedstawianą jest w Częstochowie ogromna monstrancyja szczérozłota, 22 funtów złota, a 4 funtów kamieni ważąca, drogiemi kamieniami rzadkiéj wielkości osypana. Robił ją z dziwną sztuką z różnych ofiar w r. 1672 podług modelu weneckiego, Wacław Grotko, nadworny złotnik j. k. mości, i obywatel warszawski. Zastanawia w niéj prócz doskonałéj roboty, nadzwyczajnéj wielkości dyjament osadzony w koronie, i wzięty z pierścienia przekazanego testamentem do ołtarza N. Maryi w r. 1668 przez Zygmunta Przerembskiego, wojewodę sieradzkiego. Wartość jego szacują na złp 230.000. Monstrancyja ta jest takiéj wielkości i wagi, że ją podczas wystawienia i podnoszenia trzech księży utrzymują. Według podań miejscowych, sama jéj robota 30.000 złp. miała kosztować. Znajduje się w niéj 2366 dyjamentów, 2208 rubinów, 30 szafirów, 81 szmaragdów i 215 pereł.

Kipiące stawy w Nowéj-Zelandyi. »U wybrzeża rozległych moczar ujrzałem nagle kilka wrących stawów dość znacznéj objętości. Przebyliśmy rzékę, wlewającą się do jeziora, a podsycaną tającym w dolinach Tangaziro śniégiem. W wielu miejscach téj rzéki, wskipia woda nagle w skutek podziemnych gorących źródeł, i zmienia często w jednéj chwili temperaturę, ku niemałemu niebezpieczeństwu podróżnych, którzy właśnie rzékę przebywają. Nieraz na przestrzeni kilkuset kroków słyszałem jak pod cienką warstwą ziemi, po któréj szedłem, woda wrąc bełkotała. Jestto bardzo niebezpieczna podróż, bo w razie załamania się téj warstwy, podróżnik na śmierćby się mógł sparzyć. Opowiadano mi, iż mieszkańcy okolicy Roturna, którzy chaty swoje ponad gorącémi źródłami budują, ponieważ ziemia przez całą noc jest ciepła, bardzo często na podobne przypadki narażeni bywają. Zdarzało się też nieraz, iż gdy goście weselni na takiéj ziemi tańczyli, nagle powierzchnia się załamała i całe towarzystwo w kipiący pod spodem kocioł wpadło. Niektóre stawy mają 90 stóp w okolu, i są blado-niebieską, wrącą wodą napełnione, z których obłoki pary się wznoszą. We wszystkich kierunkach ciągną się kipiące źródła pod wodą, a powierzchnia wapnistéj krawędzi tych stawów, pokryta jest pięknémi inkrustacyjami wapna i ałunu, które gdzieniegdzie kształt płytkich miseczek przybierają. Podobnie też trawa, drzewa i niektóre ogrodowe rośliny bywają w ten sposób wapienną masą powleczone. Tuowdzie między szuwarem i trawą postrzegłem małe jamy, mające niekiedy 2 stopy w przecięciu, a kipiącym napełnione szlamem, który w duże bańki się wzdyma, i mocny zapach siarczany wydaje. Mimo wielkiego gorąca, jakie wokoło tych gorących wód panuje, widać przecież mnóstwo małych muszek, biegających szybko po kipiącéj powierzchni.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.